

KS. STANISŁAW TURKOWSKI

**KS. REKTOR STANISŁAW FRANKL
SZKIC WSPOMNIENIOWY Z OKRESU II WOJNY ŚWIATOWEJ**

Bóg na każde warunki i czasy daje swemu Kościołowi odpowiednich ludzi, którzy pełniąc w sposób heroiczny swoje życiowe powołanie, realizują w ten sposób najwyższe zamiary i plany Ojca Niebieskiego. Nazywamy ich opatrnościowymi. To określenie w stosunku do niektórych osób stało się truizmem i brzmi często szablonowo i banalnie. Sądzę jednak, że jest ono w pełni uzasadnione w odniesieniu do osoby ks. prof. dra Stanisława Frankla, który był rektorem naszego Metropolitalnego Seminarium Duchownego we Lwowie w okresie najbardziej trudnym i bolesnym dla Ojczyzny, narodu, Kościoła i archidiecezji lwowskiej – w latach II wojny światowej i okupacji: najpierw sowieckiej, a następnie niemieckiej: 17 IX 1939-22 VI 1941 oraz 1941-1944.

Podjmując po wielu latach próbę jakiegoś utrwalenia tych wspomnień, gdy wiele szczegółów zatarł już bieg różnych wydarzeń, a ostrość widzenia niektórych spraw osłabił miniony czas, pragnę oddać hołd swemu niezapomnianemu wychowawcy, który swoją postawą kapłańską wywarł duże piętno na tych, którzy byli powierzeni jego trosce w owych trudnych dniach.

Mam ogromny szacunek i wdzięczność dla wszystkich profesorów Wydziału Teologicznego UJK we Lwowie, którzy imponowali nam swą erudycją i doświadczeniem dydaktycznym, żywię cześć dla wszystkich wychowawców i moderatorów naszego seminarium, którzy okazywali nam klerykom wiele serca, taktu pedagogicznego i osobistej przyjaźni w chwilach przełomowych, ale podziw szczególnie i najwyższą wdzięczność winien jestem temu, który

w okresie próby potrafił ocalić i zachować tę najważniejszą dla Kościoła placówkę, jaką jest seminarium duchowne. Dzięki niemu, w latach wojny, mogło otrzymać święcenia kapłańskie kilka roczników alumnów przygotowanych należycie do służby Kościołowi. Są wśród nich koledzy mojego rocznika, którzy święcenia kapłańskie otrzymali 11 V 1941 r. w pierwszej grupie oraz 21 VI 1942 r. w drugiej grupie. W tej ostatniej był również piszący te słowa.

Mój rocznik rozpoczął studia seminaryjne we Lwowie 1 X 1937 r. i obejmował na początku roku akademickiego 30 alumnów diecezjalnych oraz 5 kleryków ze zgromadzenia księży zmartwychwstańców.

Według spisu, jaki otrzymałem od księdza biskupa Eugeniusza Baziaka, ówczesnego rektora naszego seminarium, który ustanowił mnie tzw. duktorem mojego roku studiów, byli to:

- Zdzisław Bajda – wystąpił w ciągu roku 1937/38
- Stanisław Chabin – ur. 5. 12. 1919 r., Hłuboczek, pow. Tarnopol
- Marian Charłampowicz – wystąpił w ciągu roku 1937/38
- Franciszek Czuba – ur. 4. 10. 1917 r., Zatoka, pow. Gródek Jagielloński
- Bronisław Dyka – wystąpił w ciągu roku 1937/38
- Alfons Gogół – ur. 25. 07. 1917 r., Nawaria pow. Lwów
- Stanisław Hunca – ur. 3. 05. 1919 r., Worochta, pow. Nadwórna
- Józef Janas – ur. 13. 11. 1919 r., Ceniówka, pow. Brzeżany
- Jan Jędrzejowski – ur. 25. 05. 1915 r., Myślenice
- Józef Kaliciak – ur. 9. 02. 1913 r., Gródek Jagielloński
- Jan Kuszyński – ur. 23. 08. 1915 r., Pawłów, pow. Radziechów
- Stanisław Leszczyński – ur. 8. 03. 1915 r., k. Krakowa
- Marian Micorek – ur. 22. 07. 1917 r., Czechowice, pow. Bielsko
- Kazimierz Neugebauer – ur. 31. 01. 1918 r., Wielonek k. Poznania
- Marcin Niewieściuk – ur. 26. 01. 1918 r., Trybuchowice k. Buczacza
- Karol Padykuła – ur. 11. 09. 1915 r., Wadowice
- Kazimierz Palichowski – ur. 22. 02. 1907 r., Niemirów
- Józef Popek – ur. 31. 01. 1919 r., Zagórz, pow. Sanok
- Michał Reczuch – wystąpił w ciągu roku 1937/38
- Ludwik Rutyna – ur. 10. 02. 1917 r., Podzameczek k. Buczacza
- Marian Solecki – wystąpił w ciągu roku 1937/38
- Bolesław Staruszewski – ur. 7. 03. 1916 r., Buczacz
- Marian Szabatowski – ur. 12. 12. 1917 r., Cieszanów
- Zygmunt Targosz – ur. 13. 01. 1918 r., Tartaków, pow. Sokal
- Ignacy Tokarczuk – ur. 1. 02. 1918 r., Łubianki k. Zbaraża
- Stanisław Turkowski – ur. 6. 10. 1919 r., Sanok
- Józef Urban – wystąpił w ciągu roku 1937/38

Jan Vogelgesang – ur. 7. 07. 1919 r., Podwołoczyska

Stanisław Witwicki – ur. 28. 02. 1917 r., Kierniczki k. Kopyczyniec

Józef Zieliński – ur. 13. 12. 1917 r., Erie, USA

Ze zgromadzenia księży zmartwychwstańców: Piotr Kaglik, Władysław Motała, Adam Narkiewicz-Jodko, Henryk Waliszewski, Stanisław Żelazek.

Drugi kurs w roku akad. 1938/39 ukończyli: Stanisław Chabin, Alfons Gogół, Stanisław Hunca, Józef Janas, Jan Jędrzejowski, Józef Kaliciak, Jan Kuszyński, Kazimierz Neugebauer, Marcin Niewieściuk, Kazimierz Palichowski, Józef Popek, Ludwik Rutyna, Marian Szabatowski, Zygmunt Targosz, Ignacy Tokarczuk, Stanisław Turkowski, Jan Vogelgesang, Stanisław Witwicki, Józef Zieliński – skierowany w ciągu roku szkolnego na studia do Rzymu.

W takim składzie rozjechaliśmy się bezpośrednio po egzaminach końcowych na wakacje, ostatnie wakacje w wolnej i niepodległej Ojczyźnie. Wojna, która wybuchła 1 września 1939 r., zastała nas rozproszonych po całej Polsce. Klerycy przebywali na ogół w swych miejscach rodzinnych, niektórzy zaś korzystali ze wspólnych wczasów dla alumnów zorganizowanych w Rzepińcach k. Buczacza w trzech turnusach. Z chwilą rozpoczęcia działań wojennych poza obrębem archidiecezji lwowskiej pozostawali następujący klerycy mojego rocznika: Jan Jędrzejowski – w Myślenicach, Kazimierz Neugebauer – w Poznańskim, Józef Popek – w Zagórz, diecezja przemyska, Marian Szabatowski, diecezja przemyska, Stanisław Turkowski – w Sanoku, diecezja przemyska.

II wojna światowa poczyniła duże straty także i wśród moich kolegów kursowych, redukując naszą wspólnotę do 11 kleryków. Już w pierwszych dniach wojny poniósł śmierć męczeńską zamordowany przez Ukraińców w okolicy Brzeżan kolega Józef Janas, kleryk III kursu naszego seminarium. Zapowiadał się jako gorliwy, pobożny kapłan. Nie udało się stwierdzić tajemniczych okoliczności jego śmierci. Prawdopodobnie padł ofiarą nienawiści narodowościowej, podsycanej tak samo mocno przez hierarchię i duchowieństwo greckokatolickie na tamtych terenach już na dłuższy czas przed wybuchem wojny, a prowadzonej programowo, z całą perfidią przez okres wojny i okupacji.

Wakacje letnie 1939 r. spędzałem częściowo w Sanoku i w Rymanowie Zdroju, dokąd dochodzić już zaczynały wieści o zbliżającej się zawierusze wojennej. Pamiętam występy chóru akademickiego ze Lwowa w pięknej sali Domu Zdrojowego i te patriotyczne pieśni wówczas śpiewane, które budziły ducha w narodzie i wytwarzały atmosferę, że jesteśmy „niezwyciężeni”. Nie wielu było takich, którzy dopuszczali możliwość klęski!

We wrześniu miałem jechać na nasze wspólne wczasy wakacyjne w Domu Wypoczynkowym dla alumnów Seminarium Duchownego w Rzepińcach. Ostatnie dni sierpnia przeżyłem w klimacie gorączkowej mobilizacji wojsko-

wej w Sanoku. Uczestniczyłem we mszy św. polowej na Błoniach nad Sanem. Odprawiał ją ks. Roman Kostikow, mjr WP, który wygłosił z polowej ambony płomienne kazanie. Po nim wszedł na ambonę pułkownik 2 Pułku Strzelców Podhalańskich Tšadek (zmarły niedawno we Wrocławiu) i w gromkich słowach zachęcił żołnierzy do wyruszenia na walkę z odwiecznym wrogiem Ojczyzny. Odbyła się piękna defilada całego pułku w pełnym, wojennym składzie, wraz ze wszystkimi oddziałami pomocniczymi: szwadronem kawalerii, oddziałem artylerii, saperów itd. Wśród maszerujących zwartym szykiem wojskowym zapamiętałem twarze wielu moich starszych i młodszych kolegów z sanockiego gimnazjum, których już więcej nigdy miałem nie ujrzeć. Był wśród nich Leopold Zołnierczyk, podchorąży, który padł pod Monte Cassino 14 maja 1944 r. Zapamiętałem maszerującego Mieczysława Drwięgę, który zmarł w niewoli niemieckiej, Adama Langenfelda, Kazimierza Tyrkla i Czesława Jare, którzy zginęli w obozie w Oświęcimiu, oraz wielu innych, którzy już nie zgłosili się do apelu podczas powojennych zjazdów koleżeńskich z okazji jubileuszowych Gimnazjum im. Królowej Zofii w Sanoku. Ich imiona i nazwiska widnieją na tablicach pamiątkowych w budynku gimnazjalnym i na obelisku cmentarnym poświęconym pamięci Ofiar Oświęcimskich na cmentarzu w Sanoku.

Wydarzenia pierwszych dni wojennych następowały bardzo szybko. Wojska niemieckie postępowały błyskawicznie od zachodu i od południa, od strony Czechosłowacji, a więc bardzo blisko Sanoka. Walki zacięte trwały w Przełęczy Dukielskiej około 30 km od Sanoka. Przychodziły różne koszmarnie wieści i pogłoski, m.in. takie, że Niemcy młodych Polaków wcielają do wojska itd. To było powodem masowej ucieczki ludności cywilnej w kierunku wschodnich rubieży. Panujące powszechnie przeświadczenie, że wojna nie potrwa długo i zakończy się naszym zwycięstwem, wzmagало jeszcze ten wielki exodus ludności. Wiadomo, jakie były tego fatalne następstwa. Pomimo to ten fakt wpłynął również decydująco na wiele innych wydarzeń, od których zależne się stały nasze dalsze losy. Tak również było i ze mną.

W ósmym dniu wojny zdecydowałem się na opuszczenie rodzinnego Sanoka i w piątek, 8 września 1939 r., wraz z moim bratem Tadeuszem, uczniem 7 klasy gimnazjum, odjechaliśmy w południe pociągiem w kierunku Lwowa. Nie było już miejsc w wagonach osobowych i dlatego naczelnik stacji kazał dołączyć kilka wagonów towarowych, tzw. platform. Pogoda była przepiękna, niebo bezchmurne, jasne, bardzo ciepło, więc jazda zapowiadała się nawet „wycieczkowo” i dość przyjemnie. Mniej przyjemne były widoki niemieckich samolotów zwiadowczych, penetrujących z dużej wysokości teren i będące zapowiedzią nalotów. Nie przyszło nam zbyt długo czekać na tę złowrogą

chwile. Podczas postoju na węzłowej stacji w Chyrowie nastąpił nalot niemieckich bombowców nurkujących, którego celem było zniszczenie węzła kolejowego oraz mostu na Dniestrze, obok stacji. Pod ten właśnie most schroniliśmy się wraz z bratem oraz kolegą Tadeuszem Wojciechowskim, alumnem IV kursu teologii, który jechał z nami, opuściwszy rodzinne Krosno (Polankę Karol). Było to nasze pierwsze spotkanie z okropnością wojny: krzyki rannych, leżące trupy, płonące obiekty kolejowe, powykręcane szyny itd. Nie było mowy o dalszej jeździe. Udaliśmy się więc do pobliskiego klasztoru księży Jezuitów, którzy prowadzili w Chyrowie znany konwikt i gimnazjum dla młodzieży męskiej. Tam, dzięki interwencji i gościnności br. Habrata, wyświęconego we Lwowie w czerwcu 1938 r., a późniejszego proboszcza Nowej Soli (tam zmarłego), otrzymaliśmy nocleg i wczesnym rankiem w sobotę udaliśmy się pieszo w kierunku Sambora. Nasze walizki umieściliśmy na jednym z jadących w tym kierunku wozów pełnych uciekinierów. Po przebyciu – dość pośpiesznym – ok. 30 km zatrzymaliśmy się w Kalinowie, osadzie dawnych kolonistów niemieckich, gdzie proboszczem był kolega mego stryja. Na jego gościnnej plebanii spędziliśmy noc z soboty na niedzielę. Na podwórzu plebanii stacjonował oddział policji państwowej, który – likwidując archiwum akt policyjnych – palił dokumenty więzienne, wiezione na furmankach zabranych lub zarekwirowanych gospodarzom. Dzięki zniszczeniu wielu materiałów kilka wozów zostało opróżnionych.

Jeden z oficerów policji – znajomy mego ojca, urzędnika starostwa powiatowego w Sanoku – przydzielił nam do dyspozycji furmankę dwukonną wraz z woźnicą, pochodzącym z okolic Jasła. Oficer wydał polecenie odwiezienia nas do Lwowa, odległego ok. 55 km. Oficer przedtem jednak zaproponował, byśmy wraz z nim udali się na Węgry przez przejście graniczne k. Sianek i Ławoczno. Byliśmy bowiem bardzo blisko granicy polsko-węgierskiej. Wspólnie z kolegą Wojciechowskim orzekliśmy, że lepiej będzie jechać wprost do Lwowa. W niedzielę, 10 września, po mszy św. wyruszyliśmy naszą furmanką na Drohobycz, oglądając po drodze skutki nalotów nieprzyjacielskich, zwłaszcza palącą się rafinerię nafty „Polmin” w Drohobyczu. Drogi i szosy były zatłoczone różnego rodzaju pojazdami oraz uciekinierami, którzy pieszo, na wózkach i rowerach, podążali w kierunku wschodnim. W pewnym momencie, na jednym ze skrzyżowań, powstała ogromna panika, wywołana pogłoską o zbliżającym się froncie. Tłok niesamowity oraz zamieszanie na ulicy spowodowały, że utraciliśmy we trójkę kontakt z naszym wozem, na którym znajdowały się nasze walizki wraz z całym niewielkim studenckim dobytkiem, wzmocnionym przedmiotami ofiarowanymi nam przez rodziców

na nieznaną i niepewną drogę, i tak jak staliśmy, pozbawieni czegokolwiek, znaleźliśmy się na szosie prowadzącej w kierunku Stryja i Lwowa.

Był wieczór, niedziela 10 września. Postanowiliśmy iść szybko naprzód w kierunku Stryja. Ulica pustoszała, spotykało się coraz mniej uciekinierów i pojazdów konnych. Od czasu do czasu przemknął szybko jakiś samochód osobowy. Z oddali dochodziła kanonada artylerii lub słychać było serie z karabinu maszynowego. Na horyzoncie widać było łuny pożarów. Czuło się już zbliżający się front i grozę napięcia. Trudno było zasięgnąć jakiegoś języka i dowiedzieć się czegokolwiek od przechodniów lub podróżnych. Niełatwo było też zatrzymać jakiś pojazd mechaniczny. Szliśmy środkiem jezdni, by być zauważonymi przez jadące samochody. W pewnym momencie zatrzymał się obok nas czarny mercedes, w którym za kierownicą siedział polski pułkownik w mundurze, bez czapki na głowie. Ujrzawszy dwóch osobników w sutannach oraz jednego cywila zapytał szorstko:

- Dokąd?
- Do Lwowa – odpowiedzieliśmy.
- Proszę siadać i to szybko! – odparł oficer.

Nie pamiętam, o czym wówczas rozmawialiśmy, ale oficer był raczej małomówny i niechętnie odpowiadał na pytania. Po kilkudziesięciu minutach wjechaliśmy do Lwowa od strony południowej, tzw. roгатką stryjską. Ulice były puste, okna mieszkań zaciemnione, nikt nas nie zatrzymywał. Palił się dach na kościele Jezuitów. Słychać było strzały armatnie. Za kilka chwil mieliśmy się dowiedzieć, że Niemcy atakowali miasto od strony roгатki janowskiej.

Pułkownik wysadził nas z samochodu przy ul. Czarnieckiego nieopodal gmachu Urzędu Wojewódzkiego i DOK Lwów, w pobliżu naszego Seminarium Duchownego, które znajdowało się przy tej samej ulicy pod numerem 30. Była godzina 22.30. Zabudowania seminaryjne pogrążone były w mroku. Wpuścił nas pan Franciszek, stary portier, były kamerdyner ks. abp. Józefa Bilczewskiego. On właśnie pełnił tej nocy dyżur na portierni obsługiwanej zwykle przez braci zakonnych ze zgromadzenia założonego przez kard. Augusta Hlonda. Jeden z nich w latach powojennych pracował dłuższy czas na portierni rezydencji ks. prymasa w Warszawie i tam spotykaliśmy się niekiedy, wspominając dawne lwowskie czasy.

Pan Franciszek zaprowadził nas do ks. rektora, którym od kilku zaledwie tygodni był ks. prof. Stanisław Frankl. Było to moje pierwsze bezpośrednie spotkanie z ks.rektorem, i to w tak nietypowych, wyjątkowych okolicznościach.

Pracował właśnie w swoim pokoju na pierwszym piętrze, podczas gdy prawie wszyscy mieszkańcy domu znajdowali się wówczas w schronach i piwnicach, stosownie do zarządzeń wydanych w czasie wojennym. Ksiądz rektor przyjął nas kleryków bardzo serdecznie i uprzedził o trudnościach wynikających z sytuacji wojennej. Na moją prośbę bez zastrzeżeń wyraził zgodę na pozostanie mojego brata Tadeusza w seminarium, zanim będzie mógł udać się do domu naszego stryja ks. Maurycego, mieszkającego przy ul. Nabelaka 18, w przeciwległej dzielnicy miasta. Poleciał dać nam jakiś posiłek i wskazał wolne pokoje, choć – jak mówił – niewiele czasu mieliśmy spędzać w pokojach – raczej trzeba było nastawić się na pobyt w piwnicach. Kanonada artyleryjska nie ustawała bowiem ani na chwilę. Bardziej jednak niebezpieczne okazały się naloty, które przez następne dni nie przestawały nękać nasze miasto. Była to pierwsza noc oblężenia Lwowa – z 10 na 11 września 1939 r.

Tak rozpoczął się dla mnie drugi, już wojenny, okres przygotowania do kapłaństwa, pod kierunkiem ks. rektora Stanisława Frankla. Był to okres trudny i nietypowy dla normalnej formacji duchowej, a jednak tak ważny i doniosły, niezapomniany i chyba decydujący w dużej mierze o postawie mojej i moich kolegów, którzy w owych czasach pełnych dramatycznego napięcia zbliżali się do służby Bożemu ludowi w naszej Ojczyźnie.

W seminarium kierowanym przez ks. Frankla przeżyłem tragiczne dni oblężenia Lwowa, bombardowania miasta przez lotnictwo niemieckie, ataki artyleryjskie, wreszcie kapitulację w pamiętnym dniu 22 września i wkroczenie wojsk Armii Czerwonej. Były to chwile pełne dramatycznego napięcia, niepewności o jutro i obaw o najbliższą przyszłość.

Ksiądz rektor prawie codziennie spotykał się z nami klerykami, udzielał informacji o sytuacji, pocieszał, podnosił na duchu, budził konieczny wówczas optymizm i nadzieję. Myślał o każdym niemal szczególnie, wiedział o każdym z nas, dostrzegał potrzeby bieżące i zabiegał o możliwie normalny bieg życia seminaryjnego. Właściwie przejął funkcje wychowawcze. Wykorzystywał każdą okazję, by wygłaszać konferencje ascetyczne, pouczać, nawiązywać kontakty z każdym klerykiem z osobna i z całą wspólnotą tych, którym udało się przybyć do Lwowa, by kontynuować studia po zakończeniu działań wojennych.

Trzeci rok studiów na Wydziale Teologicznym UJK, przemianowanym na Uniwersytet im. Iwana Franko, w roku akad. 1939/40 rozpoczęliśmy w następującym składzie mojego rocznika: Stanisław Chabin, Alfons Gogół, Jan Jędrzejowski, Jan Kuszyński, Marcin Niewieściuk, Kazimierz Palichowski,

Ludwik Rutyna, Zygmunt Targosz, Ignacy Tokarczuk, Stanisław Turkowski, Józef Zieliński.

Ze zgromadzenia księży zmartwychwstańców zjawił się tylko Stanisław Żelazek.

Pozostali moi koledzy nie wrócili już do seminarium i ułożyli sobie życie w stanie świeckim, choć wielu spośród nich poważnie myślało o kapłaństwie. Sytuacja wojenna sprawiła, że ich losy potoczyły się innymi drogami. Kazimierz Neugebauer ukończył po wojnie studia teologiczne w Poznaniu, otrzymał święcenia kapłańskie w archidiecezji poznańskiej i pracował jako katecheta w Lesznie.

Rok szkolny 1939/40 rozpoczęliśmy z pewną nadzieją sądząc, że na przemianowaniu nazwy Uniwersytetu represje okupanta zakończą się. Tymczasem już po kilkunastu dniach zajęć zaczęły pojawiać się pogłoski, następnie informacje, a wreszcie artykuły przygotowawcze w prasie świadczące o nieuchronnej likwidacji Wydziału Teologicznego. Nastąpiła ona z końcem października 1939 r. Wykłady zostały przeniesione w całości do seminarium, ale i to nie trwało długo, bo już w grudniu budynek seminaryjny został zabrany i przeznaczony na dom studencki dla medyków. Przeżywaliśmy chwile pełne grozy i bólu. Patrzyliśmy codziennie na wysiłki ks. rektora zmierzające najpierw do ocalenia całości instytucji, a następnie, gdy okazało się to niemożliwe, do zachowania przynajmniej części posesji na potrzeby seminarium. Postawa naszego rektora była godna najwyższego podziwu, a jego walka o każdy niemal pokój, z jakiego nas rugowano w sposób bezwzględny, była tak zacięta, że obawialiśmy się o jego wolność osobistą, a nawet i życie, gdyż nie jeden raz grożono mu rewolwerami, które on zdecydowanie potrafił odtrącać. Był nieustraszony i nieugięty. Gdy w końcu musieliśmy opuścić ostatni bastion, którym był dom sióstr boromeuszek przylegający do seminarium, w styczniu 1940 r. zaczął się okres studiów konspiracyjnych, które kontynuowaliśmy w różnych punktach miasta. Ja zamieszkałem u mego stryja ks. Maurycego Turkowskiego w jego domu przy ul. Nabelaka 18. Tam znalazł też lokum wicedyrektor naszego seminarium – ks. dr Stanisław Bizuń¹.

Wykłady dla naszego trzeciego kursu odbywały się m.in.: na plebanii parafii św. Marii Magdaleny przy ul. Sapiehy 10, w klasztorze oo. Karmelitów oraz u księży zmartwychwstańców przy ul. Piekarskiej. Codziennie dochodziliśmy na nie ze swoich mieszkań rozrzuconych po całym mieście.

¹ Ks. S. B i z u ń, *Historia krzyżem znaczone. Wspomnienia z życia Kościoła katolickiego na Ziemi Lwowskiej 1939-1945*, Lublin 1993, s. 82, 336.

W trosce o aprowizację wyjeżdżaliśmy do podmiejskich parafii, których księży proboszczowie zaopatrywali nas w artykuły żywnościowe. Ja jeździłem kilkakrotnie do Stojanowa, gdzie duszpasterzował kolega ks. rektora, kapłan niezwykle ofiarny na cele naszego seminarium w okresie wojennym, oraz do Radziechowa, gdzie poznałem ks. Franciszka Kutrowskiego, który nie szczędził wysiłków, by zdobywać dla nas potrzebne artykuły żywnościowe. On także organizował zbiórkę ofiar pieniężnych na cele utrzymania kleryków w tych niezmiernie trudnych warunkach. Tę tradycję zachował do ostatnich lat swojego kapłaństwa w Oławie na Dolnym Śląsku. Wydatną pomoc na rzecz seminarium w czasie wojny świadczył osobiście i przez swoich parafian ks. kan. Stanisław Wyczesany, proboszcz w Korolówce k. Borszczowa, u którego miałem możliwość spędzić letnie wakacje w roku 1941. Dzięki kapłanom, którzy odpowiedzieli ofiarnie na apel ks. rektora, mogliśmy przetrwać lata wojenne i kontynuować nasze przygotowanie do kapłaństwa. Jestem przekonany, że niezależnie od poczucia odpowiedzialności za losy Kościoła i archidiecezji w warunkach wojennych i okupacyjnych – ogromną rolę w ich ofiarnej postawie odegrały osobiste powiązania z ks.rektorem Franklem oraz jego wielki autorytet, jakim cieszył się wśród duchowieństwa archidiecezji.

Studia teologiczne na kursie IV i V odbywaliśmy już mieszkając wspólnie w domu księży zmartwychwstańców przy ul. Piekarskiej. Tam także mieszkał ks. rektor S. Frankl, dochodząc codziennie ze mszą św. do kościoła seminarijnego przy ul. Czarnieckiego, a później obsługując też kościółek św. Wojciecha. Pomimo licznych zajęć duszpasterskich, codziennie, punktualnie o godzinie ósmej zjawiał się na wykładach i był zawsze obecny na wspólnych posiłkach, które spożywał razem z klerykami.

Ksiądz rektor Frankl doprowadził mój rocznik do kapłaństwa w dwóch seriach. Pierwsze święcenia odbyły się w przewidywaniu wojny niemiecko-radzieckiej 13 maja 1941 r. Otrzymali je koledzy: Alfons Gogół, Jan Kuszynski, Marcin Niewieściuk, Kazimierz Palichowski, Ludwik Rutyna, Zygmunt Targosz².

Pozostali alumni, którym brakowało lat do uzyskania dyspensy od wieku (Chabin i Turkowski), oraz ci, którzy nie mieli w tym czasie kontaktu z seminarium, gdyż przebywali poza Lwowem (Jędrzejowski, Tokarczuk, Zieliński), mieli kontynuować studia, zdawać dalsze egzaminy jako klerycy i oczekiwać decyzji przełożonych.

² Ks. W. S z e t e l n i c k i, *Zapomniany lwowski bohater ks. Stanisław Frankl (1903-1944)*, Roma 1983, s. 197 n.

Wojna niemiecko-radziecka, która wybuchła w czerwcu 1941 r., zastała mnie na wypoczynku wakacyjnym u ks. Stanisława Wyczesanego w Korolówce k. Borszczowa. Pobyt ten będę pamiętał długo, zarówno ze względu na rzadko spotykaną dobroć serca, życzliwość i talent duszpasterski tego kapłana, jak również ze względu na okropne przeżycia związane z ustępującym frontem wojennym wojsk radzieckich, mordami dokonywanymi przez ukraińskich nacjonalistów i Żydów, w tym również bestialski mord kilku zakonników dominikańskich w Czortkowie. Tych wydarzeń nie sposób zapomnieć!

Miesiące jesienne 1941 r. oraz zimę 1941/42 spędziłem we Lwowie, kończąc studia i zdając egzaminy końcowe. Była to okupacja niemiecka. Powróciliśmy do naszego seminarium przy ul. Czarnieckiego 30. Ksiądz rektor przystąpił energicznie do koniecznych remontów i uzupełniania sprzętu. Zorganizował na nowo cały dom od strony gospodarczej i aprowizacyjnej wśród dotkliwych trudności i braków materiałowych i wszelkich innych. Sam doglądał wszystkiego i o wszystko się starał. Używał wszelkich sposobów i możliwości, by uczelnia mogła sprawnie funkcjonować w tych warunkach, które stworzyła nowa okupacja, tym razem niemiecka.

Z wiosną 1942 r. udało mi się przedostać na teren Generalnej Guberni i pojechać przez Rzeszów i Głogów Małopolski do Sanoka, by odwiedzić moich rodziców, z którymi rozstałem się 8 września 1939 r. Ksiądz rektor polecił mi oczekiwać wiadomości o terminie naszych święceń kapłańskich przewidywanych w czerwcu, jak zwykle to bywało przed wojną. Zamieszkałem w Sanoku u moich rodziców, dojeżdżałem do Rymanowa Zdroju, odwiedzałem krewnych w Głogowie k. Rzeszowa. Obowiązek meldowania się, jaki ciążył na wszystkich w czasie okupacji hitlerowskiej, sprawił, że zainteresowałem się mną Arbeitsamt w Jaśle i 11 marca 1942 r. dostałem wezwanie do zgłoszenia się w biurze celem podjęcia pracy na terenie Niemiec.

Zaświadczenie w języku niemieckim wystawione mi przez ks. rektora, antydatowane 10 marca 1942, a przedłożone w Jaśle 20 dni po tej dacie, uwalniało mnie od wyjazdu na roboty do Niemiec. Zawierało ono stwierdzenie, że w najbliższym czasie mam otrzymać święcenia kapłańskie. I rzeczywiście – w połowie czerwca otrzymałem wiadomość o terminie święceń wyznaczonym na dzień 21 czerwca 1942 r.

Święceń udzielił nam ks. bp Eugeniusz Baziak w kościele seminaryjnym w obecności naszych rodziców i krewnych. Zostali wyświęceni: Stanisław Chabin, Jan Jędrzejowski, Ignacy Tokarczuk, Stanisław Turkowski, Józef Zieliński, Stanisław Żelazek CR. Do święceń prezentował nas ks. rektor Stanisław Frankl, który poprzedniego dnia towarzyszył nam również podczas wizyty u ks. abpa metropolity Bolesława Twardowskiego w jego rezydencji

odzyskanej po wkroczeniu wojsk niemieckich do Lwowa. Pierwszą mszę św. odprawiłem nazajutrz w kościółku ss. karmelitanek przy ul. Potockiego. Kazanie wygłosił ks. doc. dr F. Konieczny. Przyjęcie domowe dla rodziny i dla moich kolegów urządził w swym dużym mieszkaniu przy ul. Nabelaka 18 mój stryj ks. Maurycy. Kilka zdjęć fotograficznych z tej uroczystości, robionych w trudnych warunkach wojennych przez mego brata Tadeusza, stanowi miłą i cenną dla mnie pamiątkę z owych czasów. Pamiętam, że były trudności ze sprowadzeniem brewiarzy z wydawnictwa „Pustet” w Niemczech, wymagano specjalnych zezwoleń władz okupacyjnych, podobnie też miała się rzecz z nadrukiem obrazków prymicyjnych. Niektórzy z kolegów musieli poprzestać na napisach ręcznych lub robionych za pomocą ręcznej drukarenki-pieczątki. Dla mnie tę sprawę załatwił mój śp. ojciec w drukarni F. Patały w Sanoku.

W najbliższą niedzielę mszę św. prymicyjną odprawiłem w kościele parafialnym Przemienienia Pańskiego w Sanoku. Kazanie wygłosił mój katecheta z gimnazjum, ks. Paweł Rabczak, a manuduktorem był ks. proboszcz kan. A. Porębski, prepozyt sanocki i dziekan. Inne msze św. tzw. prymicyjne odprawiłem jeszcze u oo. franciszkanów w Sanoku, gdzie przez 8 lat byłem ministrantem, oraz w Głogowie Małopolskim, w tamtejszym kościele parafialnym, w którym był chrzczony mój śp. ojciec i skąd pochodzi moja rodzina z jego strony.

Z dniem 15 sierpnia zostałem skierowany pismem ks. abpa metropolity Bolesława Twardowskiego jako wikariusz do Horodenki, gdzie pod kierunkiem ks. dziekana M. Sobejki pracowałem do chwili wyjazdu repatriacyjnego na Ziemię Odzyskane 26 lipca 1945 r. W Horodence przeżyłem wraz ze wszystkimi Polakami okropne dni napadów i mordów banderowskich oraz odwrót wojsk niemieckich osłanianych przez oddziały węgierskie i wkroczenie Armii Czerwonej 24 marca 1944 r.

W niedzielę 25 marca tegoż roku, podczas sumy odprawianej przeze mnie w kościele parafialnym w Horodence wszedł do świątyni pijany żołnierz sowiecki, który stanąwszy na środku, oddał w kierunku ołtarza kilka strzałów. Jedna z kul trafiła w podstawę krzyża nad tabernakulum. Był to wstrząs dla mnie i dla wiernych, którzy w popłochu zaczęli uciekać z kościoła. Zaalarmowany posterunek wojskowy wyprowadził tego żołnierza na zewnątrz, a nazajutrz na plebanii zjawił się generał sowiecki w towarzystwie oficera i oświadczył, że ów żołnierz został przykładowo ukarany za zakłócenie „Służby Bożej”.

W latach poprzedzających zakończenie wojny poniosło śmierć męczeńską z rąk Ukraińców kilkudziesięciu księży naszej archidiecezji. Jest to niezwykle tragiczna karta w dziejach naszej Ojczyzny i, niestety, trzeba stwierdzić –

także w historii Kościoła w Polsce, gdyż mamy tu do czynienia z tzw. grekokatolikami. Te sprawy czekają na pełniejsze opracowanie i utrwalenie w pamięci potomnych ku przestrodze.

Spośród moich kolegów kursowych poza klerykiem Józefem Janasem zamordowanym bestialsko przez Ukraińców w pierwszych dniach wojny pod Brzeżanami, zginął z ich rąk także ks. Jan Kuszyński jako wikary w Toporowie k. Buska. Ostatnią wiadomość od niego otrzymałem na karcie pocztowej wysłanej z Toporowa 21 maja 1942 r.

Ci obydwaj moi koledzy, podobnie jak zresztą wszyscy Polacy, którzy oddali życie za Polskę, są żertwą ofiarną, za cenę której żyje nasz naród i trwa Ojczyzna. Taka bowiem postawę reprezentował nasz niezapomniany wychowawca i rektor ks. Stanisław Frankl.

Pisząc te wspomnienia, chcę przede wszystkim w jego osobie uczcić najpierw człowieczeństwo uszlachetnione wielką wewnętrzną pracą i osobistym wysiłkiem, szczerą i autentyczny patriotyzm polski, jaki promieniował z jego postawy, chrześcijaństwo uformowane według Ewangelii i najlepszych zasad zdrowej ascezy, a także oddać hołd jego kapłaństwu, ukształtowanemu na wzór Chrystusa Najwyższego Kapłana i Ofiary, bez reszty oddanemu Kościołowi w naszej umęczonej i udręczonej przez wrogów Ojczyźnie.

Te bowiem przymioty charakteru osobowego, niezależnie od walorów umysłowych i naukowych, obserwowaliśmy codziennie, obcując z nim od pamiętnych dni września 1939 r. aż po aresztowanie przez gestapo, więzienie, uwolnienie przez oddział Armii Krajowej, aż do śmierci w klasztorze oo. Reformatów we Lwowie w 1943 r.

Rzecz jasna, że nie jest łatwe przedstawienie duchowej sylwetki żadnego człowieka, gdyż jest to jakieś spotkanie z tajemnicą. Tym bardziej nie wolno nawet usiłować zgłębić tajniki życia wewnętrznego kapłana, i to takiej miary, jak ks. rektor Stanisław Frankl. Idzie mi jednak o bardzo subiektywne i ogólne scharakteryzowanie niektórych przejawów jego działalności, tak jak to odbierałem wtedy, gdy pozostawałem pod urokiem tej postaci. Ksiądz rektor pozostaje w mojej pamięci zawsze żywy, aktywny, twórczy i wrażliwy na to wszystko, co dzieje się aktualnie w Kościele i w Ojczyźnie. Takim też jawi się w naszych wspomnieniach, gdy podczas koleżeńskich zjazdów powracamy myślami i sercem do tamtych lat.

Obserwując sylwetkę naszego ks. rektora, jego sposób bycia, pracę, odnośnienie się do ludzi, można stwierdzić z łatwością przede wszystkim owoce jakiejś dobrze ustawionej pracy wychowawczej domu rodzinnego, następnie szkół, seminarium duchownego, prawdopodobnie także konwiktów jezuickiego

w Innsbrucku oraz wielkiego wysiłku samowychowawczego, pracy wewnętrznej podejmowanej z pełną świadomością i konsekwencją.

Surowa i niezłomna dyscyplina osobista przejawiająca się m.in. w szczegółowo przemyślanej i planowo zorganizowanej pracy, naleźycie i wszechstronnie wykorzystany czas, systematyczność, dokładność i punktualność przestrzegane z żelazną konsekwencją, obowiązkowość i głębokie poczucie odpowiedzialności, to były bezsprzecznie rezultaty tzw. Kinderstube – charakteryzującej ludzi, którzy z domu rodzicielskiego wynieśli te wartości, jakie towarzyszą człowiekowi przez całe życie i stanowią o jego osobowości. Wiadomo, że żadne szkoły ani uniwersytety, ani dyplomy naukowe i stopnie oraz inne tytuły nie dają człowiekowi tego, co otrzymuje on od swych rodziców.

Myślę, że ks. Frankl był świadom tego, gdyż zawsze z największą czcią wyrażał się o swoich rodzicach, nie ukrywał przywiązania do rodziny, od której podczas studiów zagranicznych, a następnie w czasie wojny był oddzielony znaczną przestrzenią. Był świadom tego, że rodzicom, a zwłaszcza matce zawdzięcza swą wiarę i powołanie kapłańskie. Daje temu wyraz w jednym z ostatnich listów pisanych z więziennego szpitala do brata Edwarda. W piśmie tym stwierdza wyraźnie, że „po to mnie matka urodziła [...] abym był kapłanem”.

Szacunek i więź wspólnotowa z rodziną zaznaczyły się m.in. w kontaktach i listach pisanych do najbliższych wśród licznych zajęć i nawału codziennej pracy. Niektóre jego pisma są przechowywane pieczołowicie do dnia dzisiejszego w rodzinnych archiwach rodziny Franklów, a grypsy przesyłane z więzienia oraz ze szpitala więziennego na Zamarstynowie, kierowane przeważnie do brata Edwarda, są cenną pamiątką dla młodszego pokolenia tej rodziny. Ta więź rodzinna i serdeczne stosunki pomiędzy ks. Franklem a jego braćmi i siostrą były zawsze bardzo żywe i bliskie. Miałem okazję przekonać się o tym w rozmowach ze śp. Edwardem Franklem, bratem ks. rektora, który po zakończeniu wojny, w czasie repatriacji na Ziemię Odzyskane, osiadł w Oleśnicy Śląskiej i pracował jako urzędnik pocztowy w tym mieście. W latach 1946-1949 jako katecheta gimnazjum i liceum w Oleśnicy uczyłem jego dzieci – Jerzego i Lidie. Państwo Franklowie mieszkali tuż obok kościoła w sąsiedztwie plebanii, tak że mogliśmy spotykać się często. Z przeprowadzonych rozmów mogłem stwierdzić, że zarówno bratanica, jak i bratanek ks. rektora zachowali żywą pamięć o nieżyjącym już stryju, wyrażali się o nim z najwyższym szacunkiem i dumą. Obydwoje naleźeli do najlepszych uczniów liceum ogólnokształcącego. Świadczy to o tym, że w rodzinie tej panowała atmosfera tradycyjna, katolicka w najlepszym tego słowa znaczeniu oraz duch autentycznego patriotyzmu, przekazywanego świadomie z pokolenia na poko-

lenie. Takie nastawienie do spraw społecznych i narodowych, jakie reprezentowali w swych postawach religijnych i pracy społecznej najbliżsi krewni ks. rektora S. Frankla, zdobywa się tylko poprzez wzory osobowe i klimat panujący w zdrowej, odpowiedzialnej rodzinie.

Należy sądzić, że w takiej atmosferze i w podobnych warunkach formowała się osobowość ks. rektora, który promieniował nią na swoich wychowanków w chwilach ciężkich zmagania i prób w okresie II wojny światowej.

Jakkolwiek nazwisko Frankl świadczyć może o pochodzeniu w dawnych pokoleniach z obcych środowisk narodowościowych, może austriackich lub niemieckich, to jednak zarówno on, jak i cała jego rodzina była i jest szczerze polska, przepojona duchem prawdziwego i ofiarnego patriotyzmu. Ten szczegół należy podkreślić z całym naciskiem, jako niezmiernie istotny i ważny element jego osobowości. I jeśli w kulturze naszego narodu nie można oddzielać chrześcijaństwa od polskości, tak mocno są ze sobą zespolone te elementy, to w życiu i działalności naszego ks. rektora oba te czynniki odgrywały istotną rolę i naznaczyły pięknym stygmatem to ofiarne życie.

Treść narodowa przewijała się w jego wystąpieniach publicznych, w kazaniach, konferencjach i wykładach dla inteligencji podczas ciemnych dni okupacyjnych. Wątek patriotyczny występował niemal stale w okolicznościowych przemówieniach z okazji świąt, uroczystości kościelnych, święceń i innych okoliczności w życiu seminaryjnym.

Był realistą, jeśli idzie o kształtowanie kleryków w duchu umiłowania Ojczyzny będącej w niewoli okupanta. Ostrzegał często przed „szarżowaniem” i nieprzemyślaną, młodzieńczą brawurą. Zalecał jak najdalej posuniętą ostrożność w angażowaniu się w działalność polityczną, zwłaszcza o charakterze konspiracyjnym. Jako wartość w tym wypadku nadrzędną, stawiał zawsze dobro Kościoła, a więc istnienie i możliwość funkcjonowania seminarium, gdyż to było wówczas sprawą najważniejszą, a każde najmniejsze podejrzenie o działalność polityczną mogło spowodować nieobliczalne następstwa nie tylko dla poszczególnych osób, ale i dla diecezji. „Pozostawcie te sprawy mnie – mówił – a ja sobie dam radę. Wy się uczyć i przygotowywać do kapłaństwa, Kościół i Polska was potrzebuje!”.

Skoro zimą 1939 r. ogłoszono tzw. głosowanie za przyłączeniem Lwowa i tzw. Zachodniej Ukrainy i Białorusi do Wielkiej Rodziny ZSRR, ks. rektor powiedział nam klerykom: „Jesteście dorośli i wiecie, co powinniście czynić. Ja nie pójdę głosować, ale ci spośród was, którzy mogą zostać powołani do służby wojskowej, powinni pójść”. Niektórzy bowiem z nas byli w wieku poborowym i mieli się zgłosić do komisji wojskowej. Dzięki zabiegom i staraniom ks. rektora na ogół udawało się nam uzyskać zwolnienie lub przy-

najmniej odroczenie terminu poboru. Dużą przysługę wyświadczyli tutaj lwowscy lekarze oraz niższy personel medyczny.

Wiedzieliśmy, że nasz rektor ma kontakty z polskim ruchem oporu, przychodzili bowiem do niego po radę różni działacze podziemia, oficerowie Armii Krajowej oraz kurierzy udający się na polecenie władz konspiracyjnych za granicę. Ks. Frankl był dyskretnym, zaufanym i niezawodnym powiernikiem wielu spraw. Brak materiałów dokumentacyjnych z tego okresu nie pozwala – niestety – na przekaz wielu ciekawych i znaczących szczegółów, ale bez obawy o przesadę można i należy powiedzieć, że działalność patriotyczno-narodowa ks. S. Frankla stanowi piękną kartę wyniesioną również z domu rodzinnego, który przygotował podłoże pod tak ofiarną pracę i życie poświęcone dobru narodu.

Nastawienie modlitewne i autentyczna pobożność tego młodego, gruntownie wykształconego teologa, profesora uniwersytetu, wychowawcy i kapłana, oddziaływały na nas młodych w daleko większym stopniu, aniżeli najbardziej uczone słowa i starannie przygotowane, po łacinie prowadzone wykłady traktatów dogmatycznych. Skrypty opracowane przez ks. prof. S. Frankla w języku łacińskim, odbijane na ręcznym powielaczu przez Bratnią Pomoc Alumnów, przechowałem jako pamiątkę w mojej bibliotece podręcznej i w roku 1980 przekazałem Archiwum Archidiecezjalnemu w Lubaczowie. Uporządkowana i zwarta osobowość, ład wewnętrzny i opanowanie świadczyło o tym, że kapłan ten nie tylko naucza, głosi, wykłada dogmatykę chrześcijańską, ale również sam na co dzień żyje tymi prawdami, kocha je, kontempluje i stosuje w swym osobistym życiu i w pracy wewnętrznej. Widać było, że stawia sobie przede wszystkim wysokie wymagania moralne, a to musiało budzić szacunek i chęć naśladowania. Surowy i wymagający dla siebie, był pobłażliwy i wyrozumiały dla nas – kleryków. Dawał tego wyraz w często używanym powiedzeniu: „Trzeba więcej brać na głowę niż na plecy”, gdy widział, że któryś z nich chce wiele osiągnąć, ale nie liczy się z możliwościami, tak fizycznymi, jak i duchowymi. Gdy mu zwracano uwagę na zbyt surowy tryb życia w stosunku do wątłego zdrowia, jakim odznaczał się, wówczas mówił: „Lepiej krótko świecić, niż długo kopcić”. Takie i podobne wypowiedzi obrazują duchową sylwetkę ks. S. Frankla i są jednym z dowodów na to, że pracował nad nią bezustannie, chyba do końca swoich dni.

Był dla nas wzorem pracowitości oraz dobrej organizacji pracy umysłowej, przy wszechstronnym wykorzystaniu każdej wolnej chwili. Wyczuwaliśmy, że przyświecały mu w tym pobudki najwyższego rzędu, motywacje ściśle religijne i ascetyczne, płynące z ducha Ewangelii. Pracował bez wytchnienia kosztem wypoczynku nocnego, przez wiele godzin na dobę. Zawsze był zaję-

ty jakąś pilną pracą. Do późnych godzin nocnych było w jego pokoju słychać stukot maszyny do pisania, na której przygotowywał wykłady, kazania, konferencje, artykuły oraz materiały popularyzatorskie z dziedziny apologetyki chrześcijańskiej i dogmatyki, które w okresie okupacji były powielane przez nas kleryków i kolportowane wśród wiernych, pozbawionych podczas wojny dostępu do prasy i publikacji religijnych.

Ta strona wojennej działalności ks. rektora S. Frankla wymagałaby bardziej szczegółowego i wnikliwego opracowania, gdyż stanowi ogromny wkład w kulturę religijną na terenie miasta Lwowa i naszej archidiecezji. Były to m.in. opracowania tych problemów, które stały się przedmiotem ataków wrogiej Kościołowi i wierze propagandy ateistycznej oraz agitacji antykościelnej prowadzonej na szeroką skalę już od pierwszych dni po wkroczeniu wojsk radzieckich do Lwowa. Kilka takich opracowań pisanych na odpadach drukarskich przez ks. S. Frankla zachowało się w moich zbiorach i przekazałem je kiedyś Archiwum Archidiecezjalnemu we Wrocławiu przy okazji opracowywania ankiety dotyczącej życia religijnego w metropolii lwowskiej w latach wojny i okupacji, opracowanej przez ks. bpa prof. W. Urbana. Przypominam sobie, że wśród artykułów ks. S. Frankla znajdowały się m.in. takie tematy: „Historyczność Osoby Chrystusa”, „Wiedza naukowa a wiara religijna”, „Kościół instytucją Boską i ludzką”, „Problem pochodzenia człowieka w świetle Biblii i teorii Darwina”, „Niepokalana w świetle gwiazdy komunistycznej” i inne. Zagadnienia te omawiał ks. S. Frankl z ambony wielu lwowskich kościołów w latach 1939-1941, po czym w formie maszynopisów udostępniał chętnym czytelnikom³.

Patrzywszy na aktualne wydarzenia oraz na sytuację w Kraju poprzez pryzmat Kościoła powszechnego, widzenie potrzeb ogółu wiernych znalazło swój wyraz m.in. także i w tym, że dla użytku codziennego wydał na powielaczu jeszcze w grudniu 1939 r. skrócony kalendarz oraz dla potrzeb liturgicznych i duszpasterskich rubrycełę, której już nie można było wydać drukiem, jak każdego roku czyniła to Kuria Metropolitalna. Są to w zasadzie rzeczy drobne, ale jakże wyraźnie obrazują one społeczne zaangażowanie oraz praktyczne podejście do spraw życia codziennego tego kapłana, czującego i myślącego kategoriami kościelnymi i mającego szerokie spojrzenie na bieg współczesnych wydarzeń.

³ Zob. *Działalność duszpasterska i patriotyczna w czasie wojny*, w: *Lwowski bohater ks. Stanisław Frankl (1903-1944)*, oprac. ks. J. Zimny, Sandomierz 2000, s. 56 n.

Życie własne pojmował zdecydowanie jako wyłączną i całkowitą służbę Kościołowi, bliźnim, społeczeństwu. Zdolności, wykształcenie i całe przygotowanie naukowe pragnął oddać bez zastrzeżeń Kościołowi i archidiecezji. Ze szpitala zakaźnego na Zamarstynowie w jednym z listów pod datą 23 marca 1943 r. pisze m.in.: „Jeśli Bóg pozwoli doczekać wolności, to zdaje mi się, że już do śmierci chorować nie będę. Szkoda tak pięknego czasu”.

Pracował więc umysłowo i studiował, czytał i pisał nawet w warunkach więziennych i szpitalnych. Przekazuje bowiem swemu bratu Edwardowi taką wiadomość: „Mieszkam na sali wspólnej, gdyż o separatkę mimo zabiegów przyjaznych trudno... Dostałem jednak parawan i tak sobie poleguję, czytając i pisząc!”.

Podczas koszmarnej okupacyjnej nocy ożywiało go duch optymizmu i chrześcijańskiej nadziei, którą starał się krzepić tych, z którymi się spotykał. A było to bardzo potrzebne ludziom, przeżywającym zarówno tragedię września 1939 r., jak również: aresztowania, wywóz na Sybir, codzienne nękania i zagrożenia ze strony okupanta, bratobójcze walki i napady oraz mordy dokonywane przez Ukraińców itd. Nasze społeczeństwo wykazujące hart ducha w różnych twardych okolicznościach, oczekiwało w owych trudnych chwilach mocy krzepiących i podnoszących na duchu. Ksiądz rektor należał do tych, którzy umieli budzić ducha w narodzie nie tylko dobrym i odważnym słowem, ale przede wszystkim postawą własną. Oto jedna z wypowiedzi w liście z więzienia pod datą 23 lutego 1943 r.: „Nie tracę ani chwili nadziei, że Bóg pomoże przebyć to cało i szczęśliwie”.

Był człowiekiem umartwienia. W czasach bowiem najtrudniejszych pod względem aprowizacyjnym, gdy braki w dziedzinie kalorii odżywczych dawały się bardzo we znaki, gdy byliśmy poddani wszelkiego rodzaju przymusowym ograniczeniom, ks. rektor sam jeszcze bardziej ograniczał tę – przecież i tak skromną pod względem jakościowym oraz ilościowym – rację żywności, jaka przypadała na każdego. Widzieliśmy to nie jeden raz podczas pobytu w seminarium przy ul. Czarnieckiego, jak i później u księży zmartwychwstańców, przy ul. Piekarskiej 57. Pragnął zawsze poprzestawać na małym, na tym, co najkonieczniejsze, i nigdy nie przyjmował żadnych dodatkowych porcji jedzenia, które w różny sposób usiłowano dlań przemycić przy różnych okazjach, mając na względzie jego słabą i wątłą kondycję fizyczną. Z więziennego szpitala pisze do brata Edwarda: „Jedzenia o połowę tyle – proszę nie nadsyłać, gdyż jest zupełnie za dużo (10 stycznia 1943)”. [...] „Proszę jednak nie nadsyłać tych dodatków w postaci pieczywa i szynki, gdyż sam obiad ze Seminarium jest już bardzo obfity (20 stycznia 1943)”. I dalej: „Ponieważ

jednak miodu jeszcze nie nadpoczął, dlatego i tę flaszkę zwracam, by nie magazynować u siebie tak drogocennej małmazji (27 stycznia 1943)”.

W jakiś czas potem pisze znowu: „Sprawa delikatna, to jedzenie. Już zwyczajne szpitalne jedzenie jest dla mnie wystarczające. Oprócz tego jednak otrzymuję tu z kuchni extra Zusatz. Co więc mam robić jeszcze z obiadem otrzymywanym ze Seminarium? Wprawdzie na sali jest jeszcze oprócz mnie 13 pacjentów, których apetyt i żołądkowa pojemność nieraz mnie zastanawia ... Dlatego bądź tak dobry i poproś w moim imieniu X. Rektora Bizunia ażeby – zachowując całkowitą dyskrecję o tym piśmie – ograniczył wysyłanie dla mnie obiadów do trzech razy tygodniowo, polecił w kuchni porcję zmniejszyć i nie dawać żadnego kompotu, który przecież często się rozlewa (Lwów 12 marca 1943)”.

Wypowiedzi tego rodzaju są bardzo wymowne i wyrażają nie tylko duże umiarkowanie oraz powściągliwość w jedzeniu i picciu, ale są dowodem zarówno panowania nad skłonnościami natury, jak i umartwienia.

Trzeba tu bezsprzecznie stwierdzić pozytywny wpływ działalności wychowawczej ojców duchownych w seminarium oraz w konwiktie jezuickim w Innsbrucku podczas studiów. Te elementy nie mogły pozostać bez wpływu decydującego na ukształtowanie się takiej właśnie osobowości, takiej duchowości i stylu życia kapłańskiego, jaki reprezentował ks. rektor Stanisław Frankl. Ta właśnie duchowość i walory osobowe predestynowały go na prawdziwego wychowawcę kleryków i rektora Seminarium Duchownego zwłaszcza w tak trudnych dla Kościoła czasach wojennych i okupacyjnych.

W hierarchii wartości najcenniejszych, jakie Chrystus Pan pozostawił swemu Kościołowi, ks. S. Frankl bardzo wysoko stawiał kapłaństwo. Cenił własne powołanie kapłańskie oraz godność kapłańską. Nigdy nie zmienił stroju duchownego na świecki. Nie uczynił tego nawet wówczas, gdy wydawało się, że względy praktyczne lub sytuacja wojenna tego wymagają, a wszyscy niemal profesorowie, wychowawcy oraz klerycy czuli się zmuszeni przywdziać strój cywilny. Ks. S. Frankl chodził zawsze w sutannie lub w długim, dziś już nieużywanym czarnym surducie oraz w czarnym księżowskim kapeluszu. Nie powiem nic szczególnego, jeśli stwierdzę tutaj, że ten pozornie drobny szczegół w owych czasach i w owych okolicznościach, których ciężar mogą najlepiej ocenić tylko ci, którzy owe chwile przeżywali, działał na nas kleryków bardziej skutecznie pod względem wychowawczym, aniżeli jakiegokolwiek słowo pouczenia, instrukcje lub konferencje ascetyczne.

Był kapłanem modlącym się, i to wiele oraz pobożnie. Naszego rektora widywaliśmy często na klęczkach, przed tabernakulum, pogrążonego w modlitwie żarliwej i szczerzej. Nigdy nie rozstawał się z brewiarzem, który nosił

pod pachą w dużym formacie idąc ulicami Lwowa podczas okupacji sowieckiej, gdy obsługiwał nasz kościół seminaryjny przy ul. Czarnieckiego udostępniony wiernym oraz pełniąc obowiązki duszpasterskie w kościele św. Wojciecha na peryferiach miasta.

Do mszy św. przygotowywał się zawsze dłuższym rozmyśleniem i chwilą modlitewnego skupienia. Po mszy św. polecał klerykowi pełniącemu zadania zakrystiana udać się na śniadanie, pozostawić klucze od kościoła do jego dyspozycji, a sam pozostawał na dłuższym dziękczynieniu i dopiero po pewnym czasie powracał do mieszkania.

Jedną z dominujących cech jego kapłaństwa było ogromne zaangażowanie w sprawę i życie Kościoła powszechnego. Rozumiał doskonale, że kapłan jest służbą Kościoła, a więc całej wspólnoty Bożego ludu. Żył przeto życiem Kościoła powszechnego i był zawsze na bieżąco zorientowany w sytuacji wiary na całym świecie, czemu dawał wyraz w swych wystąpieniach także podczas wojny. A to nie mogło pozostać bez znaczenia w czasie, gdy ludzie, a nawet i duchowni zasklepiali się w sprawach codziennych bądź ograniczali zasięg zainteresowania do kręgu narodowych problemów i zagadnień politycznych związanych z wydarzeniami wojny.

Sentire cum Ecclesia – nie było dla ks. S. Frankla czczym sloganem na użytek kaznodziejski lub wykładowy, ale zasadą, która znajdowała potwierdzenie w jego postawie i działaniu. Cechowała go rzadka umiejętność łączenia głębokiej wiedzy i myśli teologicznej, przygotowania naukowego z działaniem organizacyjnym, co w owych czasach nie mogło być sprawą prostą i łatwą. Każda bowiem poważniejsza inicjatywa mogła budzić różnego rodzaju podejrzania i natrafiać przeszkody nieprzewidywalne. Osobista skromność i pokora, wytrwałość i nieustępliwość w dążeniu do celu pozwalały mu osiągać zamierzenia nawet wśród wielkich trudności i przeciwności losu.

Pojęcie ofiary było bardzo bliskie księdzu Franklowi tak teoretycznie, jak i praktycznie, życiowo. Pisał bowiem na ten temat liczne artykuły i rozprawy naukowe publikowane w czasopismach teologicznych przed wojną i w maszynopisach podczas wojny i okupacji. O tożsamości Ofiary Wieczernika, Krzyża i Ołtarza mówił na wykładach, konferencjach ascetycznych i pogadankach duchownych. Żył duchem poświęcenia siebie i oddania wszystkiego co własne Bogu i ludziom. Cierpienie, ból fizyczny i psychiczny, chorobę włączał w całokształt kapłańskiej służby Kościołowi – i w tym leży jego wielka zasługa, której owoce trwają do dziś. W cierpieniu i ofierze dojrzywało jego życie kapłańskie i dorastało do wyżyn doskonałości. Tak bowiem trzeba rozumieć jego słowa kierowane z więziennego szpitala do brata Edwarda mieszkającego w czasie wojny we Lwowie: „Man muss Leider geduldig ab-

warten. To położenie jest dla nas ogromnie przykre. Każdy jednak z nas stanowi małą jednostkę na tle wielkiej ludzkości tak bardzo dziś cierpiącej. Dla mnie najgorszą rzeczą od chwili aresztowania jest oderwanie mnie od mej pracy zawodowej, którą żyłem, od mych kapłańskich zajęć, dla których mnie Matka urodziła. Inne rzeczy są mniej ważne (12 marca 1943 r.)”.

Ta wypowiedź świadczy chyba najlepiej o duchowej dojrzałości księdza rektora oraz o szczytowych osiągnięciach w sferze chrześcijańskiej mistyki i nadprzyrodzonym pojmowaniu posłannictwa kapłańskiego!

Cierpienie dla Chrystusowego Kościoła łączyło się w jego pojęciu z ofiarą dla wolności i niepodległości Ojczyzny. W jednym z ostatnich listów pisanych ze szpitala, przed uwolnieniem go przez oddział AK, pisał tak: „Osobiście chciałbym już raz skończyć z całą tą kołomyjką, wobec przejść dotychczasowych, a zwłaszcza wobec cierpień i ofiar tylu wartościowych jednostek, nie obawiam się już niczego ze strony tych szubrawców, w tym świętym przekonaniu, że przecież Bóg nawet najmniejsze cierpienie naszych dręczonych rodaków przyjmie jako cegielkę do budowy potężnego gmachu silnej i wolnej przyszłości. Zaszczycem są blizny na twarzy weterana, krzyż zasługi na piersiach wojaka, śmierć na polu chwały. A czyż więzienia i katongi dla sprawy słusznej nie miałyby rościć sobie pretensji do takowych zaszczytów? Zresztą Bóg świadkiem, że będąc na wolności, starałem się dać ze siebie wiele dla społeczeństwa. Obecnie jednak już jestem bezproduktywny (30 marca 1943 r.)”.

Wiedział więc doskonale o tym, że żyje i działa dla dobra i szczęścia narodu, pracuje dla Kościoła i jest w tym wszystkim zjednoczony z Chrystusem – Najwyższym Kapłanem i Ofiarą. Traktaty dogmatyczne o rzeczach ostatecznych i chrześcijańska eschatologia zostały włączone świadomie przez niego do życia i pracy kapłańskiej. Jest to niewątpliwie przywilejem jednostek nieprzeciętnego formatu i cechą ludzi przez Boga specjalnie powołanych do wypełnienia szczególnych zadań na miarę wielkich dni.

Śmierć zastała ks. rektora Stanisława Frankla na wolności, którą uzyskał przy okazji odbicia z więzienia kilku oficerów AK przez oddział Polski Walczącej. Ale umierał w odosobnieniu i ukryciu, nieznanym. Został pochowany na lwowskim cmentarzu przy ul. Janowskiej, nieopodal grobu błogosławionego abpa Józefa Bilczewskiego. Odchodził w sile wieku, w pełni sił umysłowych, bardzo osłabiony chorobą. W pełni dojrzałości osobowej, chrześcijańskiej i kapłańskiej.

*

Niniejsze wspomnienie nie jest bynajmniej pełnym biograficznym opracowaniem postaci ks. rektora prof. dr. Stanisława Frankla. Nie może więc rościć sobie pretensji do wyczerpującej oceny jego działalności, która obejmowała wiele istotnych dziedzin życia kościelnego w archidiecezji lwowskiej. Na źródłowe i wnikliwe przedstawienie czeka przede wszystkim duchowość oraz – nie waham się użyć tego określenia – osobista świętość tego kapłana, nie-mały dorobek naukowy i teologiczny zawarty w pracach drukowanych i w maszynopisach, dalej – jego wkład w pogłębienie religijnej świadomości i kultury chrześcijańskiej w archidiecezji lwowskiej, a także mało znana – i ze zrozumiałych przyczyn słabo udokumentowana – działalność konspiracyjna podczas II wojny światowej.

Uważam, że te dziedziny jego działalności i życia należałoby w sposób możliwie wszechstronny i źródłowy przybliżyć potomnym, zanim popadną w dalszą niepamięć lub też w zamierzony „niebyt” lub zostaną usunięte z kościelnych archiwów historyczne dokumenty dotyczące działalności ludzi Kościoła na wschodnich terenach Polski.

Ks. prof. dr Stanisław Frankl zapisał piękne karty dziejów metropolii lwowskiej w latach najtrudniejszych dla Ojczyzny i Kościoła. Pozostawił wspaniały wzór pełnego człowieczeństwa, dojrzałego chrześcijaństwa, prawdziwego patriotyzmu i ofiarnego kapłaństwa. Niechaj tego nie zapomną jego duchowi spadkobiercy!